Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 14 Warszawa, dn. 21 kwietnia 1929 r. Rok

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH

TREŚĆ NUMERU:

NA PORZĄDKU DZIENNYM

NOWY RZĄD

Zgórą pięciotygodniowe przesilenie rządowe zakończyło się wreszcie powołaniem do steru spraw państwowych gabinetu p. Kazimierza Świtalskiego. Ujawniło się tedy jak nieścisłe i pozbawione wszelkiej faktycznej podstawy były pogłoski, że wśród miarodajnych czynników państwowych istnieje różnica zdań co do kierunku polityki rządowej i składu osobowego nowego gabinetu.

Mamy zatem nowy Rząd, który złożył przysięgę w ręce p. Prezydenta Rzeczypospolitej i objął urzędowanie. Deklaracji programowej nie ogłosił tak, że opinja publiczna z trudem próbuje zdać sobie sprawę, jaką drogą wśród ujawnionych sprzeczności potoczy się jego polityka.

Jak dotąd zdani jesteśmy wyłącznie na domysły i pogłoski: Wśród nich szczególnego znaczenia nabierają zapowiedzi, że nowy Rząd zamierza stosować politykę „silnej ręki". Entuzjaści „radykalnych rozstrzygnięć" z prasy sanacyjnej urozmaicają te zapowiedzi widmem daleko idących decyzyj, co do podstawowych zagadnień ustrojowych państwa, jakie w niedługim czasie mają nastąpić. Nikt nie troszczy się o odpowiedź na pytanie w jaki sposób te „decyzje" pogodzić należy z uroczystemi zobowiązaniami, jakie członkowie Rządu przyjęli na siebie ślubując m. in. niezłomne przestrzeganie przepisów prawa. Atmosfera przewrotu rewolucyjnego tak góruje w pewnych umysłach, że nikt o takie „drobiazgi" się nie troszczy!

Co do nas, skłonni jesteśmy zalecać jaknajwiększy spokój i ostrożność w ocenie przewidywań niedalekiej przyszłości. Nie znaczy to byśmy uważali, że z chwilą nominacji nowego gabinetu sytuacja polityczna w Polsce uległa pogodnemu wyjaśnieniu. Wprost przeciwnie. Nie lekceważymy bynajmniej istniejących w pewnych kołach tendencyj „rozgrywkowych". Twierdzimy tylko zgodnie z istotnem wyczuciem dzisiejszej rzeczywistości, że szanse tej „rozgrywki" obóz przewrotu majowego bezpowrotnie utracił.

Maj 1929 r. będzie zgoła niepodobnym do maja 1926 r. Prysły nawet resztki złudzeń, nastroje mas idą djametralnie w innym niż przed trzema laty kierunku. Sejm obecny ma całkiem inną w społeczeństwie pozycję niż targany sprzecznościami u schyłku swego istnienia Sejm poprzedni. „Sanacja" dokonała nielada cudu, skonsolidowała przeciwko sobie na gruncie podstawowych zagadnień polityki państwowej najszerszy odłam społeczeństwa — od państwowo myślących socjalistów do umiarkowanych nacjonalistów!

Kto tę rzeczywistość zechce zlekceważyć — może kraj narazić na ciężką próbę. Ale nie ulega dziś już żadnej wątpliwości, że w tej próbie zwycięstwo nie po jego będzie stronie.

Maj 1926 roku już się w Polsce nie powtórzy!

CEZARYZM A PARLAMENTARYZM

CEZAR I SENAT

Zagadnienie upadku Rzymu jest jednem z największych zagadnień w historji świata.

Jakim sposobem stać się to mogło, że taka wspaniała cywilizacja i taka zarazem pierwszorzędna potęga państwowa i militarna, podbiwszy i zorganizowawszy cały znany wówczas świat kulturalny, sama bez oporu niemal uległa i rozsypała się w proch pod ciosami najezdniczych hord barbarzyńskich?

Oddawna historycy pracują nad rozwiązaniem tej zagadki, oświetlając ją kolejno z różnych punktów widzenia. W ostatnich czasach wzmogło się znowu zainteresowanie tą sprawą. Między innymi, znany socjolog i historyk włoski, Gugielmo Ferrero, dopatrując się groźnej analogji między stanem cesarstwa rzymskiego w ostatnich wiekach jego istnienia, a obecnym stanem Europy powojennej, zagrożonej neo - barbarzyństwem, ciągnącem ze Wschodu — i wychodząc z założenia, że czynnik **polityczny** decyduje o całokształcie życia społeczeństw, — wyraził pogląd, że **jedyną** istotną przyczyną katastrofy Rzymu było, dokonane przez Cezarów **złamanie powagi i władzy Senatu,** jako reprezentanta jedynej **zasady prawnej,** na której opierała się budowa państwa rzymskiego[1]).

Pogląd Ferrera wydaje się zbyt jednostronny; z tem zastrzeżeniem, jest jednak słuszny: wszyscy niemal historycy tego okresu stwierdzają zgodnie, że **upadek Senatu był jedną z głównych przyczyn upadku Rzymu.**

JAK ZŁAMANO SENAT.

Uprzytomnijmy sobie, w jaki sposób przyszło do upokorzenia i złamania Senatu, — i jakie to pociągnęło za sobą skutki?

Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że już w czasie walk między Marjuszem a Sullą i potem za Tryumwirów tępiono na wielką skalę, w drodze proskrypcji, wybitnych przeciwników w obu walczących z sobą obozach.

Ten system „tępienia najlepszych" (Ausrottung der Besten) słusznie nazwano „prawem tyranów" (Tyrannengesetz) [2]).

Cezarowie stosowali to prawo systematycznie: żołnierze i lud mieli słyszeć tylko o zasługach Cezara; kto po za nim i niezależnie od niego miał to nieszczęście, że się odznaczył, zwłaszcza na wojnie, ten dostawał dymisję, albo znikał ze świata[3]).

Dzięki temu systemowi, po ukończeniu wojny domowej bardzo niewielu już odważnych pozostało przy życiu, i już Cezar mógł do Senatu wprowadzić swoich

[1]) Guglielmo Ferrero: „La ruine de la civilisation antique". Parîs 1921. Plon. Mam przed sobą przekład rosyjski tej książki, dokonany przez Kaznakowa w r. 1923 r. — i ten będę przytaczać.

[2]) Otto SeSeck: „Geschichte des Untergangs der antiken Welt". T. I. str. 275. Autor przytacza w tem miejscu następującą opowieść Herodota: „Periander, tyran Koryntu, wyprawił posła do mędrca Trazybula z Miletu, z prośbą o radę, w jaki sposób mógłby najlepiej utrwalić swoje panowanie. Mędrzec (zamiast odpowiedzi) powiódł posła w pole, pokryte dojrzałem zbożem, — i tam począł ścinać wszystkie kłosy, które wzno iły się nad inne; rzucał je na ziemię i deptał w prochu. W ten sposób zniszczył najpiękniejsze zboże, a zostawił tylko kłosy niskie i ubogie w ziarno. Periander zrozumiał naukę i wnet kazał ściąć lub wygnać z Koryntu wszystkich, którzy czemkolwiek wybijali się nad innych".

[3]) Seeck, j. w., str. 20 — 21.

wyzwoleńców, którzy, działając tam jako ślepe narzędzie dyktatora, rozsprzęgali Senat od wewnątrz[1])

ZŁO NIE DO NAPRAWIENIA.

I rzecz zdumiewająca, jak szybkie jest tempo demoralizacji: za Augusta, następcy Cezara, Senat był już tylko bezkształtną masą plastyczną, pozbawioną charakterów, zdolności i ambicyj twórczych. August, polityk roztropny i oględny, przeraził się tego dzieła zniszczenia i sam wszelkich starań dokładał, aby nowy Senat nie składał się z jego kreatur, ale z ludzi, odznaczających się bądź zupełną niezależnością materjalną, bądź zasługą osobistą. Co więcej, gdziekolwiek spotkał się w Senacie z opozycją tam nietylko jej nie prześladował, ale przeciwnie, obsypywał przeciwników wyjątkowemi oznakami szacunku i uznania[2]).

Wystarczyło więc dwu z rzędu cezarów, aby myśl krytyczna, niezależność moralna i odwaga cywilna stały się cechami tak rzadkiemi, że trzeba je było sztucznie hodować, niby rośliny egzotyczne w cieplarni. Ale klimat polityczny cezaryzmu zbyt jest dla tych roślin zabójczy: nie udają się nawet w cieplarni. Okazało się to za następcy Augusta, Tyberjusza.

Do imienia Tyberjusza przylgnęła dobrze zasłużona sława ponurego mizantropa i tyrana. A jednak ten właśnie cezar — taksamo jak później Kaligula i Neron — rozpoczął swoje rządy od aktów rozumnych, gestów pojednawczych i nawet wspaniałomyślnych. Pierwszym czynem jego po objęciu panowania było wezwanie, skierowane do Senatu, aby przejął na siebie część obowiązków cesarskich, — czyli roztropna i wtedy szczera niewątpliwie propozycja podzielenia się z Senatem tragicznie ciążącą jednostce wszechwładzą i wszechodpowiedzialnością. Ale to zgromadzenie, złożone z tak starannie dobranych przez Augusta najniezależniejszych i najśmielszych przedstawicieli społeczeństwa, nie znalazło już w sobie dość odwagi i niezależności, by tę propozycję przyjąć. Ani jeden głos nie oświadczył się za nią.

„Wszyscy — pisze Seeck — bali się skompromitować. Wszyscy złączyli się w niewolniczem błaganiu, aby im dano święty spokój z polityką. Możnaby to wkońcu wyrozumieć, gdyby śmiałkom groziło jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo. Ale proskrypcje ustały już od pół wieku, już całe jedno pokolenie przetrwało pod reżimem ojcowskiej dobrotliwości i ścisłej praworządności (za Augusta). Groziła, co najwyżej, niełaska cezara, ale czemże to być mogło dla potentatów majątkowych i społecznych, o książęcem niemal stanowisku? Jeśli więc mimo to wszyscy pełzali i płaszczyli się, to przyczyną było tchórzostwo już instyktowe, już zakorzenione dziedzicznie, które nie dopuszczało do żadnego śmielszego czynu, do żadnej myśli świeższej. Cóż dziwnego — mówi autor, w osobliwy nieco sposób broniąc cezarów, jako niezdolnych do opanowania skutków... cezaryzmu — że nieszczęsnego Tyberjusza ogarnął wstręt do tego niewolniczego plemienia, i że wkońcu tak począł tę hołotę traktować, jak na to zasługiwała?" [3]).

Szczegół godny uwagi: Seeck wydał książkę z której przytaczamy te zdania, książkę zresztą źródło-

[1]) G. Bloch: „L'Empire Romain. Evolution et Dècadence", Paris, 1922, str. 62.

[2]) Seeck, j. w., str. 287.

[3]) Seeck, j. w., str. 288.

wą, ściśle naukową, w r. 1910, a więc za absolutystycznych rządów Wilhelma II. To też pewnej pikanterji nabierają takie np. zdania niemieckiego autora:

„Gdyby Senat składał się z **mężów**, to władza cezara rzymskiego ograniczałaby się do zakresu władzy konstytucyjnych monarchów naszej epoki. Ale gdy cezar np. skazywał na śmierć najzasłużeńszego senatora, to, choć w jego osobie wszyscy koledzy jego powinni się byli czuć dotknięci, mimo to wszyscy, bez wyjątku niemal, głosowali stale za wyrokiem potępiającym. Cezarowie stali się wilkami, gdyż poddani ich byli — baranami"[1]).

Takie były skutki stosowania wobec Senatu pedagogji bata i topora. Skutki smutne dla pokolenia, „wychowywanego" w ten sposób bezpośrednio, ale stokroć smutniejsze dla pokoleń następnych, na które ta „edukacja" oddziaływała pośrednio. Bo jak „walka o wolność", taksamo i rezygnacja z wolności,

„z ojców krwią spada dziedzictwem na syny..."

Z ojców krwią i... za ojców wzorem.

Pliniusz stwierdza, że za dawnych dobrych czasów Rzeczypospolitej Rzymskiej młodzież uczyła się myśleć i działać za wzorem starszych. Otóż młodzieży, która wzrastała pod tyrańskiemi rządami cezarów, takich zwłaszcza, jak Tyberjusz, Kaligula, Neron, Domicjan, tej edukacji dobrych wzorów, tej żywej szkoły sumienia obywatelskiego i myśli niezależnej — zabrakło. „Miała ona przed oczyma — stwierdza świadek współczesny, Plinjusz, — jedynie senat drżący i niemy, senat, który zwoływano po to tylko, żeby się z niego natrząsać i szydzić, albo żeby go oskarżać o wspólnictwo w jakiejś zbrodni, — tak iż wkońcu dusze wszystkie zostały osłabione i złamane za długo"[2]).

ZAPÓŹNO!...

I gdy wkońcu państwo dostało się pod władzę człowieka, pozbawionego instynktów krwiożerczych i złośliwych, pod władzę największego z cezarów po wielkim Juljuszu, Trajana, — „senat, przyzwyczajony do służby, nie umiał już uczynić użytku z łaskawie oddanej mu cząstki władzy. Wybory stały się istnemi skandalami: knuto haniebne intrygi, gdy skrutynjum było jawne, pozwalano sobie na nieprzyzwoite żarty, kiedy było tajne[3]). Wszyscy prześcigali się w płaskiem pochlebianiu panu i władcy. Gdy on mówił, przerywano mu frenetycznemi oklaskami, gdy skończył, senatorowie zrywali się z miejsc swoich, jakby niezdolni do powściągnięcia zachwytu[4])

Trajan, dzielny żołnierz i jasno myślący mąż stanu, wiedział, że serwilizm, że niewola nie jest dobrą szkołą męstwa. Napróżno jednak usiłował rozniecić jakąś samodzielną energię w duszach swoich poddanych, i (jest coś tragicznie wstrząsającego w tem świadectwie współczesnem Plinjusza...) napróżno „wzywał senatorów, ażeby zechcieli być znowu wolni"...[5]). Zapóźno!... Senatorowie tradycyjnie już od szeregu pokoleń, przywykli, że za nich myśli i działa On, jedynowładca, cezar. Słuszna też jest skarga innego ze współczesnych, Tacyta: „Łatwiej jest zdusić myśl, niż zduszoną wskrzesić".

---

1) Tamże, str. 289.
2) Plin. Epist. III, 14, 8.
3) Plin. Epist. III, 20.
4) Plin. Paneg. 72 i 73.
5) Plin. Paneg. 66.

PAŃSTWO I CEZAR PO ZŁAMANIU SENATU

Zjawia się ciekawe pytanie: dlaczego cezarowie zachowali samą instytucję senatu, choć złamali jej znaczenie?

Na to pytanie (pomijając motywy ogólne, wskazane wyżej przy charakterystyce Cezara) daje konkretną odpowiedź Ferrero: cezarom zależało na istnieniu senatu, gdyż senat dawał jedyną prawną podstawę ich władzy, przez formalna legalizację stanowiska każdego nowego władcy[1]). Faktycznie nowy cezar narzucany był zwykle senatowi i ludowi Rzymu, bądź przez pretorjanów, bądź przez wolę ostatniego cezara, — ale prawnie musiał uzyskać potwierdzenie Senatu, w postaci uchwały, zwanej lex de imperio.

Otóż pierwszy Septymjusz Sewer, afrykanin, człowiek Wschodu, oparłszy się jawnie i zdecydowanie na armji, upokorzył ostatecznie Senat, targnął się nawet na jego kompetencje sądownicze, wydając sam wyroki w swoim pałacu. On to, zdaniem Ferrera, dokonał przewrotu, zapoczątkowanego przez Cezara[2]).

Temu to władcy, który — wręcz przeciwnie, niż Juljusz Cezar — czynnik cywilny podporządkował wojskowemu, przypisują powiedziane jakoby przed śmiercią wyrazy: „Wzbogacajcie żołnierza — i śmiejcie się z reszty!"

I śmiano się z całej reszty. Śmiano się coraz głośniej... Wybrany przez wojsko cezarem Maximinus, pierwszy nie zatroszczył się wcale o zatwierdzenie swojej władzy przez Senat. Stało to w r. 235. Tę datę uważa Ferrero za przełomową[3]), bo wtedy to „**siła, odrzuciwszy jedyną zasadę prawną, któraby ją mogła usprawiedliwić, postanawia w sobie samej znaleźć niezbędne do władzy źródła prawa**"[4]).

Rozpoczyna wtedy okres walk domowych, gospodarczego rozprzężenia i nieustannego rozkładu i upadku. Katastrofę odwlekli, ale nie zdołali jej zapobiegnąć nawet tak niepospolici władcy, jak Djoklecjan i Konstantyn Wielki.

A już nic żałośniejszego, jak postacie ostatnich cezarów: panowie fortuny niegdyś, stali się jej igraszką, ubóstwiani niegdyś wybrańcy pretorjanów, stali się ich kreaturami. Coprawda już Plinjusz nazwał cezarów „panami obywateli, niewolnikami wyzwoleńców" (civium domini, libertorum servoi).[5]).

SPOKÓJ... CMENTARZA

Z drugiej strony upadek Senatu, jako jedynej wolnej niegdyś publicznej trybuny, pociągnął za sobą w konsekwencji upadek opinji publicznej, odporności moralnej i myśli niezależnej w **społeczeństwie**.

Rozpowszechniło się przekonanie o niemożliwości i bezcelowości jakichkolwiek wysiłków naprawy złego, jakiejkolwiek w tym kierunku inicjatywy indywidualnej czy zbiorowej.

Serwilizm i korupcja stały się znamieniem epoki. Ogół, przywykłszy znosić obojętnie zbrodniczy teror cesarzy, przestał być wrażliwy na zbrodnie wogóle. Stwierdzając te fakty, znakomity historyk, Gaston Boissier, powiada: „Niewola ukształtowała psychikę tego podłego ludu z czasów Cesarstwa, psychikę, któ

---

1) Ferrero, j. w., str. 14.
2) Ferrero, j. w., str. 22.
3) Ferrero, j. w., str. 24 — 25 i 32 — 33.
4) Ferrero, j. w., str. 32.
5) Paneg. 88.

Cezaryzm a parlamentaryzm (c. d.)

rej rysy z takim wstrętem rozpoznajemy w opowiadaniach Tacyta"[1]).

Sfery wykształcone, odsunąwszy się od polityki, oddawały się życiu towarzyskiemu, literaturze lub bigoterji. To im było wolno. Szerzyły się zabobony wschodnie, magja, wiara w sny i wróżby.

Literatura upada, staje się gadatliwa i jałowa. Brak jej szerszego tchu, głębszych ambicyj twórczych. Przeważają panegiryki, anakreontyki i inne drobiazgi. Rzeczy obojętne, małe, niedrażliwe i nie drażniące. „Ten fakt, że każdy, kto chciał dojść do czegoś w życiu, musiał wdziewać liberję lokaja, — należy niewątpliwie do przyczyn, które przyśpieszyły upadek antycznego świata"[2]).

Potomkowie dumnych niegdyś wolnych kwirytów, teraz wyćwiczeni w szkole niewoli, z jakąś tępą apatją, z jakimś wschodnim fatalizmem poddawali się każdej władzy, wszystko jedno czyjej, wszystko jedno jakiej, dobrej czy złej. — byleby mieli z czego żyć, byleby dano im spokój. Spokój — do czasu — im dano, ale był to, powiada Seeck „spokój cmentarza".[1])

Niebawem ten cmentarz myśli, energji, godności Rzymian miał się stać cmentarzem rzymskiego państwa, rzymskiej cywilizacji.

Rzym, który, jak powiada Boissier, tak długo, cierpliwie, bezopornie „znosił swoich cezarów", tak samo, bezopornie prawie, zniósł najazdy barbarzyńców i tak samo cierpliwie im — uległ.[2]).

J. P.

[1]) Boissier: La Religion Romaine, t. II, str. 357.
[2]) Seeck, j. w., str. 336.

[2]) Boissier, j. w., str. 356.
[1]) Seeck, j. w., T. II. str. 170.

Mały człowiek

Pamięci ludzkiej przypomniał się świeżo skromny rezydent z Doorn, ongi cesarz, Wilhelm II.

Przypomniał się jako hypokryta w sposób charakterystyczny dla swej fałszywej z gruntu natury Opatrzył mianowicie wstępem listy swej matki, pisane do brata, króla Edwarda VII, która daje w nich nader ujemną charakterystykę osoby niefortunnego swego syna. Ten zaś usiłuje choć w ten sposób złagodzić jej surowy sąd o sobie.

Zadziwiającą istotnie rzeczą jest, jak ten człowiek, o którym przez tyle lat tak głośno było na świecie, nagle zapadł się w kompletną **nicość.**

A jednak koło jego osoby stworzył się w swoim czasie swoisty **kult** w narodzie niemieckim, jakaś hypnoza prowadziła wiernych poddanych do jego stóp.

Wielkie mniemanie o sobie miał przedewszystkiem **sam Wilhelm.** Uważał się za wodza i kierownika narodu, jedynie powołanego do rozstrzygania o jego losach. Miał się za monarchę z łaski Bożej, którego sam Bóg wysunął na czoło, by dokonał misji dziejowej. To też wszelkie sprzeciwy swojej woli traktował nieomal, jako nieposłuszeństwo rozkazom Boskim.

„Jest tylko jeden pan — oznajmił w jednej ze swych mów — i ja nim jestem, nie zniosę obok siebie nikogo".

Prawa obywateli dla niego nie istniały, mieli oni w myśl jego zasady tylko „Steuer zahlen und Maul halten" (płacić podatki i milczeć).

Człowieka tego, wielkiego z urojenia własnego, rozsadzał jakiś demon **pychy.** Był to pęcherz, rozdęty do ostatecznych granic, który zdawał się wołać: ostrożnie bo pęknę! Niesyty laurów, wprost karmił się pochlebstwami i cierpiał na głód kadzideł i hołdów.

O niczem innem nie umiał mówić, jak tylko **o sobie.** Słowo „ja" nie schodziło z jego ust, deklamował je we wszystkich odmianach i jakąkolwiek kwestię poruszył, zawsze kończył na sobie. „Mój naród", „mój Berlin", „moja flota" i „moja gwardja", chronicznie powtarzane, świadczyły **o egotyźmie** bez granic. Ciągła chęć zajmowania wszystkich swą osobą spać mu nie dawała.

Ten niepoczytalny samochwalca bił nieustannie w wielki bęben **reklamy.** Pod tym względem nie zbrakło mu nigdy pomysłowości. Wszędzie i zawsze narzucał siebie natrętnie. Niczem drugorzędny kupiec, zachwalający klijenteli swój towar, roztaczał naokoło próbki swych talentów.

Komedjant i aktor, wciąż przybierał nadzwyczajne pozy, wciąż występował z krzykliwemi popisami na estradzie publicznej, wciąż domagał się oklasków i owacji. Nie zważał na to, że jego teatralne maniery przypominały błazeństwa klownów cyrkowych. Nikt tak skutecznie nie ośmieszał władzy zwierzchniej i nie obniżał jej powagi, jak ten kurczowo ściskający ją w swych rękach autokrata.

„STYLOWY" MÓWCA.

Najstraszliwsze były jego **mowy.** Ten wielki gaduła nie pominął żadnej okazji, by nie palnąć jakiegoś kapitalnego głupstwa. Rodzina, książęta Rzeszy, kanclerz, ministrowie, parlament truchleli, gdy otworzył usta. Szanujący się obywatel ze drżeniem brał do rąk gazetę z nowym spiczem „Jego Cesarskiej Mości". Doszło do tego, że kanclerz Bülow musiał złożyć w parlamencie solenne przyrzeczenie, że tak wysyłanie warjackich telegramów, jak i wygłaszanie błazeńskich peror będzie podlegało kontroli rządu.

W czasie wojny — jak podaje **Nowaczyński** w swej broszurce Wilhelm Imperator, z której pozwalamy sobie zaczerpnąć i niektóre inne szczegóły — 3 mowy cesarskie wprost skonfiskowano, podając z nich szerokiej publiczności zaledwie drobne urywki.

Charakterystyczną cechą oracji wysokiego mówcy była ich **wulgarność.** Roiło się w nich od „małp japońskich", „oszustów rumuńskich", „łajdackich dyplomatów angielskich". Nie było to tylko lekkomyślne wypluwanie z siebie tego, co ślina na język przyniesie, lub też danie tylko upustu swej złości. Tkwiła w tem tylko specjalna **metoda. Styl koszarowy** obliczony był na gusta **hołoty,** był sztuczką demagogiczną dla pozyskania popularności w masach.

Skąpy aż do obrzydliwości, wierny pod tym względem tradycji domu „oszczędnych Hohenzoller

nów", nie żałował Wilhelm pieniędzy na utrzymywanie całej czeredy **literatów**, którzy w niewolniczej służalności lizali proch z pod jego stóp i wynosili pod niebiosa jego potęgę. Dla **przekupywania prasy** istniał specjalny „reptilienfond" **fundusz ptasi**, skąd hojnie rozrzucano marki na prawo i na lewo.

DUSZE SŁUŻALCZE.

Wszystko to razem tworzyło swoisty bizantynizm ery wilhelmowskiej. Kadzidła admiracji i adoracji wszelakiego rodzaju czyniły atmosferę tak duszną, że zatracała się w niej **godność osobista obywateli**, a ich aspiracje zamieniały w jakąś „kadavergehorsamkeit" **(posłuszeństwo trupie).** Dla ludzi zasług nie było miejsca, rozpierały się natomiast wszędzie „Bedientenseelen" **(dusze służalcze).** Symbolem ówczesnych Niemiec stały się nastroszone wąsy, które widniały na honorowem miejscu w domu każdego „bürgera" i przed któremi wszystko padało plackiem.

Ta zapoznana miernota na tronie znieść wprost nie mogła wybitnych ludzi koło siebie. Trawiła go wieczna **zawiść**, by ktokolwiek nie wyrósł ponad niego i nie zasłonił przypadkiem jego „wielkości". Pierwszym jego czynem gdy wdrapał się na tron cesarski, było usunięcie „żelaznego kanclerza" — Bismarka, któremu właściwie do pięt nie dorastał. I tak było stale ze wszystkimi. Gdy tylko, kto z jego otoczenia wybijał się ponad szary tłum, wnet wpadał w niełaskę.

W parze z zawiścią szła **mściwość**, drobiazgowa, niska, nikczemna. Niedość mu było zepchnąć kogoś, kto zdawał mu się stać na drodze, musiał go jeszcze **skopać, zdeptać i zmieszać z błotem.** Typowym przykładem może być książe Lichnowsky, ambasador niemiecki w Londynie, któremu Wilhelm nie mógł darować jego przenikliwego przewidywania smutnego końca awantury wojennej. Przeciwko tej Kassandrze zorganizował Wilhelm całą nagankę, spowodował wykreślenie go z pruskiej Izby Panów i tak go sponiewierał, że ten umarł przedwcześnie ze zgryzoty.

Parlamentu, który ośmielał się go krytykować, wprost **znieść nie mógł.** Na każdym kroku starał się pokazać mu swą pogardę i lekceważenie. Ale nawet w policyjnem państwie niemieckiem poszanowanie dla prawa i konstytucji było zbyt wielkie, aby cesarz odważył się na jawne wystąpienie antykonstytucyjne na ograniczanie działalności parlamentu.

Gdy podczas wojny z Hererami w Afryce parlament, karcąc kabotyna - despotę skreślił 5 miljonów z budżetu kolonji, Wilhelm wpadł w **paroksyzm wściekłości** i pozwolił sobie w liście do ministra spraw wewnętrznych na użycie słów: „freche Buben" **(zuchwałe chłopaki)** w stosunku do posłów opozycjonistów. Natychmiast jednak dostał po łapie. Przywódca centrum katolickiego poseł Eugenjusz Rychter ostro zastrzegł się przeciwko tego rodzaju niepoczytalności i kategorycznie zażądał od kanclerza, by nic podobnego nadal się nie powtórzyło.

„NAPOLEONITIS VULGARIS".

Drażniło boleśnie Wilhelma to, że są jednak w narodzie niemieckim pewne grupy, które nietylko nie wierzą w jego genjalność i posłannictwo od Boga ale patrzą nań z przerażeniem jak na **niepoczytalnego szaleńca,** kompromitującego powagę i autorytet państwa.

To, że nie wszystko leżało przed nim plackiem że spotykał się tu i owdzie ze śmiałemi obywatelskiemi **wystąpieniami** ludzi, rąbiących mu prawdę w oczy, doprowadzało go do prawdziwej pasji.

Miał za złe **narodowi, że nie dorósł** do zrozumienia go, i złości swej dawał folgę w pogardliwych epitetach. Narodu swego w gruncie rzeczy nie cierpiał. Traktował go tylko, jako piedestał dla pomnika swej chwały.

Był to człowiek chory na specjalną **manję,** którąby można ochrzcić mianem **„napoleonitis vulgaris"** Jest to choroba, której łatwo ulegają **słabe głowy,** doznając charakterystycznego zawrotu, gdy się wdrapią na wyżyny szczebli społecznych. Był to istotnie Napoleon ze wszystkiemi jego wadami, ale bez żadnych zalet.

Cenzura — Paranoja i Koprolalja.

CZEGO NIE KONFISKUJĄ?

Jako rys znamienny obecnej sytuacji politycznej podkreślić należy wzmożony kurs konfiskat prasowych, stosowany bezpośrednio po ogłoszeniu głośnego artykułu marsz. Piłsudskiego p. t. „Dno oka, czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie".

Konfiskaty te nie ominęły niemal wszystkich komentarzy, jakie artykułowi temu poświęciła niezależna prasa codzienna: od „Gazety Warszawskiej" do „Robotnika".

Okazuje się jednak, że surowy ołówek cenzorski nie tylko na tem poprzestał. Zaczęto konfiskować nawet ustępy z fachowych dzieł naukowych, które niektóre dzienniki podały najwidoczniej dla wykazania do jakich niekonsekwencyj może czasem dojść rozpędzony ołówek cenzorski, któremu brak najwidoczniej ściśle i jasno sprecyzowanych instrukcyj.

Drukowanie takich... wypadów w zgoła inną, niemal egzotyczną, dziedzinę zainteresowań, gdy cenzura zbyt gorliwie... pracuje — leży zresztą w tradycjach polskiej prasy. Do mistrzostwa doprowadził tę metodę swego czasu ś. p. Andrzej Niemojewski w „Myśli Niepodległej" za niemieckiej cenzury okupacyjnej.

Nie należy tedy zaraz we wszystkiem upatrywać zdrożnych jakichś aluzyj, bo może się przytrafić taki niemiły wypadek, jak z konfiskatą w „Kurjerze Poznańskim" ustępów z podręcznika naukowego prof. dr. Wł. Witwickiego p. t. „Psychologja dla użytku słuchaczów wyższych zakładów naukowych". (Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. — Tom II), którą Sąd Okręgowy uchylił. A potem „Placówka" wyłowi z tego „dokument epoki" na wieczną rzeczy pamiątkę, czego to w dzisiejszych czasach nie konfiskują...

Skonfiskowane początkowo ustępy książki dotyczą opisu... chorób psychicznych. I tak na str. 381 — 383 autor traktuje o paranoi:

PARANOJA

„Na tle obciążenia dziedzicznego występuje jawnie, zazwyczaj w wieku dojrzałym, choroba psychiczna, która wcale nie nadwyręża przytomności chorego, a nawet nieraz pozwala mu pracować na wysokich stanowiskach, zyskiwać sobie wpływ i sławę. Paranoja polega na tem, że niespostrzeżenie i zwolna rozwija się u człowieka trwały i niewzruszony system urojeniowy, dotyczący jego własnej osoby. To może być rola społeczna, dziejowa, kosmiczna. Bierna lub czynna. W

Cenzura (c. d.)

pierwszym razie ktoś czuje się prześladowany systematycznie, wymyślnie i chytrze. On sam tylko wie, jak strasznie i jak na każdym kroku. Albo też chory czuje swe wysokie pochodzenie i święcie w nie wierzy, wbrew opinji otoczenia. W drugim razie ktoś czuje się genjuszem pierwsze klasy, na którym się nie poznało otoczenie; wynalazcą, który stworzył perpetuum mobile, tylko niema środków, żeby je wykonać; zesłańcem Opatrzności, którego życie ma doniosłość kosmiczną, a przynajmniej ogólno ludzką lub narodową. Paranoik czuje się wielkim człowiekiem i często znajduje takich, którym to potrafi w dobrej wierze zasugerować. Ci rozwijają dalej urojenia otrzymane. Wtedy mówi się u tych drugich o obłędzie indukowanym.

„Niekiedy paraonik nie może się oprzeć przekonaniu, że śledzi go jednostka jakaś lub organizacja, która dybie na jego sławę, zdrowie, honor, życie, zbawienie. To też zmienia miejsce pobytu, przeprowadza się, podróżuje — niekiedy jedzie do Ameryki pod opiekę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niekiedy, wynająwszy sobie pokój w hotelu, strzela w nocy w ścianę i ucieka, nie zostawiając adresu."

„Miewiają też paranoicy widzenia nieraz i wtedy, gdy czują swe wysokie posłannictwo. Niejeden zapuszcza długie włosy i nieporządną brodę i przeciwstawia się tem otoczeniu. Paranoicy pisują niekiedy bałamutne dzieła i zyskują sobie zwolenników i czcicieli".

KOPROLALJA

Na str. 215 mówi zaś prof. Witwicki: „U obłąkanych spotyka się na tle podniecenia gniewnego, triumfującego, przekornego, wzmożonej pewności siebie, na tle poczucia zupełnej swobody, której niczyja obecność nie jest w stanie skrępować, tak zw. koprolalję, czyli nałóg posługiwania się wyrazami i zwrotami wulgarnemi z zakresu czynności wydzielniczych i rozrodczych. Podobne tło uczuciowe posiada koprolalja i u zdrowych. Występuje w parze ze wzmożeniem poczucia siły — fanfaronadą".

Koprolalja o zamiłowaniu do używania zwrotów wulgarnych z dziedziny czynności wydzielniczych występuje czasami łącznie z paranoją i znamienną dla niej megalomanją i manją prześladowczą.

List otwarty marsz. Daszyńskiego.

Na artykuł prof. Bartla, w którym ustępujący prezes skreślił niejako swoje credo pożegnalne odpowiedział listem otwartym marszałek Sejmu Daszyński, podanym przez całą niezależną prasę polską w niedzielę 14 b. m.

Prasa sanacyjna treść listu pominęła niemal milczeniem, zbywając ją kilkuwierszowym beztreściwym skrótem. Znamienny wyjątek stanowią jedynie organy krakowskie „Czas" i „Ilustrowany Kurjer Codzienny",

Pozostałe pisma sanacyjne usiłowały potraktować wystąpienie marszałka Sejmu jako wydarzenie małoznaczące i niepoważne. „Kurjer Poranny" nie umiał nawet ukryć oburzenia, że artykuł marszałka Sejmu nie będący przecież mową wygłoszoną w Sejmie — korzysta z immunitetu poselskiego...

ET TU BRUTUS CONTRA ME?

„Głos Prawdy", a z nim inne pisma sanacyjne zaczęły się złośliwie grzebać w tem, co p. Daszyński, już jako marszałek Sejmu i jeszcze przedtem mówił o... marsz. Piłsudskim, co napisał o nim w znanej swej broszurze, wydanej na parę miesięcy przed przewrotem majowym p. t. „Wielki człowiek w Polsce".

Oryginalny conajmniej sposób dyskusji politycznej. Ten typ dziennikarzy nie jest widocznie w stanie zrozumieć, a może musi udawać, że nie rozumie znamienności i doniosłości tego faktu, że słowa ostrej, miejscami bezlitosnej, a całkowicie prawdziwej krytyki systemu pomajowego — wypowiada właśnie nie jakiś „pryncypjalny" przeciwnik, doktryner praworządności, związany z poprzednim stanem rzeczy, ale długoletni przyjaciel i towarzysz pracy marsz. Piłsudskiego, wódz partji, która czynnie zamach majowy poparła, jego gorliwy entuzjasta, który nawet w rok później w okolicznościowej swej broszurze, choć już wiele rzeczy krytykuje, nie ukrywa swego sentymentu, nie przechodzi do zdecydowanego ataku.

Widocznie wiele się rzeczy w Polsce w ciągu ostatnich dwu lat, a właściwie podczas ostatniego roku, zmieniło — skoro nie kto inny ale właśnie p. Daszyński — wystąpił z publicznym protestem, które zaszczyt przynosi jego odwadze obywatelskiej i przenikliwości politycznej.

SYTUACJA SIĘ WYJAŚNIA .

Piszemy te słowa tem chętniej i szczerzej, że śledząc pilnie linję taktyki p. Daszyńskiego od chwili jego wyboru na marszałka Sejmu przez antysanacyjną większość Sejmu — trudno nam było zrozumieć wiele z posunięć parlamentarnych tej większości, zwłaszcza w czasie pierwszej i w początkach ostatniej sesji sejmowej, które — jak wiadomo — miały miejsce pod decydującym wpływem oddziaływania marszałka Sejmu.

Jeżeli tedy obecnie ten sam polityk, który niewątpliwie w próbach swych wytworzenia jakiegoś możliwego modus współpracy Sejmu z Rządem, poszedł do ostatnich granic ustępliwości, a nieraz niewątpliwie... samozaparcia, który porozumienia tego istotnie szczerze sobie życzył i dla stworzenia dlań warunków pracował z całą zręcznością utalentowanego i doświadczonego parlamentarzysty — obecnie uważał za konieczne zabrać głos publicznie — to sytuacja jest już całkiem jasna.

A jasność ta polega na tem, że nietylko ten Sejm z obecnym systemem rządzenia nie może współpracować, ale nie będzie tego w stanie czynić żaden Sejm, świadomy swych praw i obowiązków, mający poczucie tego, że jest przedstawicielstwem wolnego narodu.

KONIEC ZŁUDZEŃ

W tych warunkach uważać należy „list otwarty" marsz. Daszyńskiego jako najpoważniejszy dokument polityczny chwili bieżącej, poniekąd przełomowej w tem znaczeniu, że z jednej strony ustąpienie p. Bartla zapowiada zerwanie po jednej stronie z polityką pewnego rodzaju kokietowania przedstawicielstwa parlamentarnego, z drugiej strony w temże przedstawicielstwie zniknęły ostatnie złudzenia...

Sytuacja jest jasna. Niedaleka chyba przyszłość nam pokaże na jakie tory jej rozwiązanie zechcą skierować czynniki decydujące.

W każdym razie trzeba przyznać, że marsz. Daszyński na progu tej jasnej sytuacji przemówił w sposób niemniej jasny, wyraźny i zrozumiały dla wszystkich.

„ZEMSTA — NA ZIMNO"

Takim jest już wstęp, gdy pisze:

„Stało się zwyczajem w Polsce, że po urzędowem zamknięciu każdej sesji Sejmu rozpętuje się nad głowami Sejmu, wszystkich posłów, jakaś orgjastyczna burza obelg, wyzwisk, gróźb, porównań najdzikszych w swem okrucieństwie. „Zemstą rozkoszuje się na zimno", angażuje się wszystkie pisma, aby znieważały, znieważały, znieważały posłów sejmowych, jako zdrajców, łotrów, nierządnice, hebesów, idjotów gorszych od kryminalistów i t. d. i t. d. Żaden dozorca więzienia, gdzie siedzą osądzeni zbrodniarze i wyrzutki społeczeństwa nie potrafiłby tak obelżywie traktować nieszczęsnych więźniów, jak się traktuje ku moralnemu przerażeniu Polaków i obcych co roku posłów polskiego Sejmu."

Zaznaczywszy, że robią to „ludzie wielkich zasług", otoczeni „najcudowniejszą legendą", zapytuje następnie co to „zjawisko okropne ma oznaczać":

STRASZNA TEORJA WYCHOWANIA

„Zdaje mi się, że jest to straszna w swem rodzaju teorja wychowywania parlamentu i narodu polskiego, aby znieważony szedł posłusznie ku najwyższym szczytom moralnym, aby uchronił się w niepewnej, ciemnej, zawsze groźnej przyszłości od zguby utraty niepodległości dla ich dobra... Ma to być dziś podstawą wychowywania parlamentu polskiego: obelga, za którą ma przyjść kij, kopanie, bicie, bat świszczący na ulicach i t. d. i t. d. Objawy te mają być najwyższym szczytem patrjotyzmu, pełnego troski i miłości do narodu. który się zawsze dla jego dobra nazywa „narodem idjotów, „obcych agentur" i tym podobnemi epitetami. Historja i psychologja znają taką „miłość" i ja osobiście nie wiele miałbym w tej sprawie do powiedzenia wobec prac uczonych profesorów, pańskich kolegów, nie na politechnice jednakże, a na innych wydziałach naukowych."

W ten sposób scharakteryzowawszy tę metodę „wychowania parlamentu i narodu polskiego" autor stawia p. Bartlowi wielce drażliwe pytanie, czy uznaje podobną metodę wychowania „już nie swego syna, ale np. swego psa"?

„AKTUALNOŚCI" Z ZA KULIS

Następują „aktualności polityczne" istotnie wielce ciekawe, nieznane, a rzucające sporo światła jak wyglądają kulisy systemu pomajowego:

„Kiedy Sejm znalazł się przed głosowaniem nad budżetem na rok 1929 30 zjawił się w kuluarach wysoki urzędnik polityczny dyrektor departamentu i zaklinał posłów przyjaciół swoich z dwóch stronnictw, aby nie osłabli w opozycji i głosowali przeciwko budżetowi. Nazwisko tego urzędnika jest znane Panu jako zwierzchnikowi i szefowi.

Liczni posłowie rządowi głośno zachęcali swych nierządowych kolegów, aby dla uratowania honoru głosowali przeciw ko budżetowi, a za jakimkolwiek votum nieufności dla rządu...

W ostatniej chwili klub rządowy rozważał konieczność głosowania przeciwko budżetowi i dopiero pańska interwencja temu przeszkodziła.

O tych wszystkich machinacjach nie mógł Pan w swoim artykule napisać ani słowa."

JAK TO BYŁO Z CZECHOWICZEM

A zaraz potem drugi „gwóźdź", dotyczący sprawy oddania p. Czechowicza przed Trybunał Stanu, która w uwagach p. Bartla najwięcej zajęła miejsca:

„Niktby p. Czechowicza o nic nie oskarżał, gdyby pański rząd wniósł do Sejmu ustawę o kredytach dodatkowych za rok 1927 28. Pan tę ustawę mógł przedłożyć Sejmowi sto razy i ustawy tej Pan nie przedłożył.

Dlaczego?

Pan wie, dlaczego i wszyscy wiedzą, dlaczego. Nie było to dla nikogo tajemnicą. Mogłeś Pan unicestwić w samym zarodku nawet myśli o oskarżeniu, ale nie miałeś Pan siły tego uczynić. O tem nie pisze Pan ani słówka..."

P. BARTLA MARTYRJUM

Nawiązując do uwag p. Bartla o metodach parlamentaryzmu polskiego, marszałek Sejmu stwierdza:

„Ależ Pan sam padł ofiarą nie tych poczwarkowych czy zwyrodniałych form, ale antyparlamentarnej grupy rządowej, która chciała Pana usunąć już od roku wtedy, kiedy miał Pan zostać marszałkiem Sejmu, aż do czasów ostatnich, kiedy Pana chciano usunąć z rządu „odszkodowując" go lukratywną posadą potentata bankowego.

O tem Pan znowu nie pisze ani słowa, chociaż polityka wrogów Sejmu, a nie nałogi sejmowe były Pańskiem martyrjum od chwili, kiedy Pan został szefem rządu."

ZMIENIĆ METODĘ!

Wywody swe kończy marsz. Daszyński trafnymi uwagami o parlamencie polskim, który wprawdzie nie jest ideałem, bo jest przedstawicielstwem narodu, wzrastającego „w niewoli, w analfabetyźmie i w nędzy".

Stwierdza jednak, że naród polski ma wiele zalet państwowych, jest łatwym do rządzenia, wymaga jednak innej metody rządzenia:

„Trzeba nim umieć rządzić sprawiedliwie.

Kopanie, bicie, codzienne poniewieranie i upokarzanie obywateli nie może być w Polsce, ani nigdzie w Europie metodą rządzenia."

Innej metody. Widocznie jednak sam marszałek Sejmu przestał mieć nadzieję, że ci sami ludzie zdolni są do innej metody skoro po tak długich i bliskich związkach uznał za konieczne wystąpić publicznie z tak druzgocącą krytyką.

Kroniki tygodniowe

OPOWIEŚĆ O TRZECH FAKTACH. — KRADZIEŻ. — „SOKÓŁ" W KUTNIE. — WIEC KOMUNISTYCZNY TOW SYPUŁY. — MÓJ KOLEGA, KTÓRY KRACZE „...CZY JEST W POLSCE BOLSZEWIZM? — JEST! — O SZEREGOWCU OLEWIŃSKIM.

W przeciągu jednego tylko tygodnia mój ołówek kronikarski zanotował trzy znamienne fakty. Dwa z nich dotyczą — stolicy. Jeden prowincji.

Rozpatrzmy je — „historycznie".

FAKT PIERWSZY: — W pewnym teatrzyku warszawskim, przed niedawnym czasem odbywał się „jubileusz" A zatem — uroczyste było przedstawienie, mówka, kwiaty, oklaski i... złodzieje na sali! Autentyczni — „kieszonkowcy" t zw. w gwarze stołecznej „doliniarze" Jakiemuś pułkownikowi ukradziono — portfel. Wraz z nim — 1000 zł.

— Cóż w tem dziwnego, że kogoś tam okradziono?

— I ja tak sądzę! Mógłbym się conajwyżej! dziwić, że w Polsce są jeszcze pułkownicy, którzy w tylnej kieszeni od spodni (tak głosił o tem raport policyjny!), noszą aż... po... 1000 zł.

Ale... najlepsze jest zakończenie tego „wypadku".

W zeszłym tygodniu, tenże poszkodowany oficer otrzymuje — paczkę W paczce portfel. W portfelu nienaruszone 1000 zł. A „na nawiązkę" list:

— Zwracamy i t. d., bo portfel ukradł jakiś „łobuz". Porządne złodzieje jeszcze tak nie okradają... Gdyby to był jakiś tam paskarz, to „coś jenszego", ale.. On, panie pułkowniku, niby ten „łobuz" za tę kradzież dostał odpowiednią porcję „w... zęb..." Niech wie, choroba, kogo ma okradać! Tfuj... „człowiek nieodpowiedzialny!.. Niechaj szanowna osoba przyjmie słowa przeproszenia od „uczciwych doliniarzy, co jeszcze nie okradajom naszych kochanych ofjicerów" etc

— Kropka.

— Hę? — Ładny liścik?

FAKT DRUGI: — W zeszłym tygodniu byłem w Kutnie. Dowiedziałem się tam „przeróżnych różnościów". Także i o tem, że w tem mieście gospodarzy P. P. S. „Robotnicy mają tam wszelkie udogodnienia" — „T. U. R.", „Czerwone harcerstwo", „bojówkę" etc., a na zakończenie — czterech komunistów w radzie miejskiej! Chyba tylko „ptasiego mleka" brak „radykalizmowi w Kutnie"?

Ponieważ jestem coś - niecoś narodowiec, więc łaziłem po mieście jak struty.

— Niech djabli porwą taką dziurę!

Gdym już chciał siadać do pociągu złapał mnie ktoś za ramię:

— Czy pan oglądał naszą „Sokolnię"?

— Nie. Jest tam coś ciekawego? Może i „Sokoła" opanowali „u was" socjaliści?

Poszedłem przecież obejrzeć tego „Sokoła". Wchodzimy. Na sali — ze dwu-

Na froncie wewnętrznym

Pożegnanie p. Bartla.

P. Bartel po zdecydowaniu swej dymisji, usuwając się przynajmniej na czas pewien z czynnej widowni politycznej — uznał za wskazane wypowiedzieć — niejako na pożegnanie — swoje credo polityczne na temat swego stosunku do parlamentaryzmu wogóle, a polskiego w szczególności.

Nie jest to już pierwsze credo ustępującego premjera w tej sprawie. Przedostatnie miało miejsce niemal w przededniu zwołania izb prawodawczych i wówczas to z treści jego wywodów niektórzy optymiści skonni byli wyciągać dość daleko idące wnioski co do możliwości harmonijnej współpracy Sejmu z Rządem.

Rzeczywistość polityczna rychło tym przypuszczeniom zaprzeczyła. Trudno dziś winić p. Bartla, że obecne jego wywody w wielu zasadniczych punktach odbiegają dość daleko od tej linji, którą reprezentował pół roku temu. Autor obu enuncjacyj o naszym parlamentaryźmie poniekąd sam w drugiej z nich zabezpiecza się przed tego rodzaju zarzutami, krytykując stanowczo, ba nawet bezwzględnie „błędy" popełnione przez Sejm w ostatniej sesji.

O CZEM P. BARTEL NIE PISZE..

W tych wywodach krytycznych trudno oczywiście b. premjerowi być objektywnym. Gdyby nawet potrafił zapomnieć o tem, że polityka Sejmu w ostatnim okresie musiała z konieczności uderzać w niego jako formalnego szefa Rządu — to z drugiej strony rzeczy nie mógł on mówić o drugiej stronie medalu, o tem, jak jego politykę „współpracy z Sejmem" stale paraliżowali ci, którzy na swym sztandarze politycznym wywiesili hasło „współpracy z Rządem"

Dlatego credo pożegnalne premjera Bartla można ocenić i zrozumieć należycie dopiero w związku z listem otwartym marszałka Sejmu Daszyńskiego. Obie te enuncjacje uzupełniają się nawzajem i dają należyty pogląd na całokształt dzisiejszej sytuacji politycznej w Polsce.

Związek ich jest tak ścisły, iż w pewnych kołach przywykłych nałogowo niejako do szukania zawsze jakichś tajemniczych, zakulisowych związków przyczynowych dla oceny zjawisk naszego życia politycznego — zaczęły kursować pogłoski, że p. Bartel swą „rozgrywkę" z „pułkownikami" prowadził w... ścisłem porozumieniu z marszałkiem Sejmu i poprostu dlatego w swem liście wspomniał o pamiętniku, jaki przygotowuje, aby p. Daszyński mógł mu wrzucić do sztambuchu parę „pikantnych" kamyczków...

ŚLUBY „PANA KAZIMIERZA".

Widocznie pogłoski te doszły do p. Bartla, skoro uważał za wskazane pożegnaniu swemu z dotychczasowymi towarzyszami pracy, jakie miało miejsce w Belwederze w dn. 16 b. m. nadać charakter pewnego rodzaju odnowienia ślubów lojalności i oddania się marsz. Piłsudskiemu.

Zaznaczył w niem wyraźnie, że stoi i zawsze jest „gotów do dyspozycji" Marszałka „na każdem stanowisku", na którem oddaje mu do dyspozycji wszystkie swoje siły i zdolności, cały swój zapał. „Czuję się nadal — mówił z przejęciem p. Bartel — Twoim podwładnym, Twoim urzędnikiem i Twoim żołnierzem, Panie Marszałku".

TAJEMNICZOŚCI. W ATMOSFERZE

Deklaracja ta w swej szczerości niewątpliwie wzruszająca. Po niej tem trudniej zrozumieć, dlaczego p. Bartel ostatecznie odchodzi oraz dlaczego likwidacja przesilenia zaczętego dymisją min. Czechowicza trwała tak długo i skończyła się dopiero po 38 dniach nominacją gabinetu p. Świtalskiego.

---

dziestu chłopa t. zw. „dorostu". Ćwiczą. Phiii... wcale nieźle to czynią! Przyglądam się im bliżej.

— To chyba nie „jenteligiencja"?

— Robotnicy!

Aż skoczyłem do góry:

— Bujda!

— Co się „facet" tak dziwi? Chwalić Boga, mamy jeszcze uczciwych narodowców wśród robotników. Jest nas coraz więcej. I dla nas — „przyjdzie nasza godzina", a wtedy...?

FAKT TRZECI: — Tu się nie wysilam, lecz „żywcem" przepisuję „kawałek" z niedzielnej kroniki miejskiej, jednego z pism stołecznych:

— WYGWIZDANY WYSTĘP POSŁA SYPUŁY. — Przed fabryką Lilpop, Rau i Lewenstein, przy ul. Bema nr. 65, zwołano wiec robotników, na którym przemawiał poseł Sypuła. Na wiecu było obecnych około 600 robotników. W chwili, kiedy Sypuła zaczął mówić o ucisku w jakim pod obecnemi rządami pozostają robotnicy, wśród słuchaczy rozległy się gwizdy, zmuszające niefortunnego posła (komunistę! — przypisek kronikarza!) do przerwania mowy, tembardziej, że — z tłumu zaczęto rzucać kamienie na trybunę, z której Sypuła przemawiał. Przemówienie trwało 5 minut, poczem poseł musiał szybko uchodzić. Zebrani rozeszli się.

Nad tym ostatnim faktem nie będę się długo rozwodzić.

— Kto zwołał robotników na ten wiec?

— Komuniści!

— Od kogo komuniści dostali „w skórę" na tym wiecu?

— Od robotników!

Przystąpmy teraz „do rzeczy". Mam pewnego kolegę w redakcji, który łazi jak zmora i kracze:

— Źle jest! Będzie — bolszewizm...

— Dlaczego?

— Bo widzisz...

Tu ów „puszczyk" nachyla się nad moim uchem i opowiada szereg rzeczy znanych o tem, co się obecnie „w Polsce odbywa". I — ma rację!

Jabym osobiście poszedł nieco dalej od niego i powiedział:

— W Polsce już mamy bolszewizm!

— Jakto? Pan to mówi?!

— Właśnie, że — ja! U nas panuje „bolszewizm" zewnętrzny". Od kilku lat już „szarogęsi się" w wielu miejscowościach. Tylko, że to jest — „bolszewizm ciała", lecz nie — „bolszewizm ducha"..

— Co to znaczy?

Odpowiem na to jeszcze jednym faktem.

— Dziesięć lat temu. Na froncie. Gdzieś w okolicach Bobrujska, czy Borysowa. Kompanja porządnie „przetrzepana" w walkach, „liże" swoje rany. Żołnierze odpoczywają. Oddział czeka na „uzupełnienia". Wśród „wiary" jest także szeregowiec Lewiński, czy Olewiński (dokładnie już nazwiska tego nie pamiętam!) Nieziy to był „morus"! Bił się jak „sto djabłów". W ataku zawsze bywał — pierwszy. Sam z własnej inicjatywy zdobył — dwa karabiny maszynowe. I nagle? Piorunem w nas „trzasnęło". Przyszedł rozkaz:

— Aresztować Olewińskiego natychmiast i dostawić do D-twa pułku!

— Za — co?

— Za... bolszewizm!

— Nie! To są głupie żarty, czy też nieporozumienie.

Pożegnanie p. Bartla (c. d.)

Sądząc z pewnego zwrotu w artykule p. Bartla, że nie mógłby on się z należytą lekkością przerzucić do innej koncepcji w ustosunkowaniu się do decydujących czynników pozasejmowych do parlamentu — należało wnosić, że ośrodkiem pewnych wahań i refleksyj był może sam p. Bartel. On sam jednak przypuszczenia te przekreślił w swem pożegnalnem oświadczeniem w Belwederze.

Los parlamentaryzmu polskiego.

Byliśmy świadkami jedynej w swoim rodzaju publicznej wymiany „zdań" na świeczniku życia państwowego Rzeczypospolitej. Pierwszy zabrał gos p. minister spraw wojskowych marsz. Piłsudski, jako czynnik najbardziej miarodajny. Z kolei przemówił cienkim głosem p. prezes (obecnie już były prezes) Rady Ministrów prof. Bartel. Wreszcie wystąpił z zachmurzonem czołem p. marszałek Sejmu Daszyński.

Wymiana „zdań" dotyczyła parlamentaryzmu polskiego.

WŚRÓD WROGÓW I PRZYJACIÓŁ

Jedni są zdania, że nic z tego nie będzie, że parlamentaryzm nasz, to prawdziwe „enfant terrible", z którego żadnej pociechy nigdy się nie doczekamy, i że najlepiej będzie, jeżeli się to chorowite i krnąbne dziecko poprostu weźmie pod klucz.

Inni przypuszczają, że należy stosować mniej radykalne metody wychowania i leczenia, że raczej należy to krnąbne pacholę nauczyć poszanowania i posłuchu dla starszych i mądrzejszych, którzy wiedzą lepiej, a gdyby to już absolutnie nie pomogło, to dopiero wtedy chwycić się wypadnie metod ostrzejszych i bezwzględniejszych.

Wreszcie są tacy, co patrzą na to biedne i szarpane na wszystkie strony dziecię, które doświadczyło tak ciężkiej i niebezpiecznej „gorączki majowej", z większem umiłowaniem, tak jak się patrzy na własne rodzone, choćby niezbyt udane dziecko, mniemając, że tylko w drodze swobodnego i nieskrępowanego rozwoju, w atmosferze serdeczności i zaufania, poprawi się ono samo,

Pierwsi — to pesymiści i mniej lub więcej świadomi, albo też zgoła nieświadomi, nieprzyjaciele parlamentaryzmu polskiego, którym nie obce są zdecydowane tendencje autokratyczne.

Drudzy — to ludzie pośredniego poglądu, którzy chcieliby i Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek zaświecić, bo z przekonania są niby zwolennikami ustroju parlamentarnego, ale załamują ręce nad ułomnościami parlamentaryzmu polskiego i szukają lekarstw, przerzucając się od jednej metody leczenia do drugiej, nie zatrzymując się na żadnej.

Trzeci wreszcie — to optymiści i przyjaciele parlamentaryzmu polskiego, którzy widzą wszystkie jego wady i braki, ale pragną szczerze ich uleczenia.

SEDNO SPRAWY

Wydaje nam się, że ci ostatni i tylko oni są na słusznej drodze. Pojmują oni doskonale, że jaki ojciec — taki syn, że społeczeństwo, którego starsze pokolenia wyrosły w niewoli i ciemnocie, nie może mieć parlamentu, stojącego na jako takiej wysokości zadania. Rozumieją oni, że parlament każdego kraju jest niemal matematyczną funkcją rozwoju i poziomu kultury politycznej narodu. I zdają sobie sprawę, że społeczeństwo polskie należy pod względem społeczno - politycznym wychować, aby parlamentaryzm polski skutecznie i owocnie naprawiać.

Tak, tu tkwi sedno sprawy i tylko tu! Na nic się zdadzą wszelkie baty, wszelkie wymyślania. wszelkie narzekania, jeżeli społeczeństwo, którego parlament jest wytworem, nie zdoła podnieść poziomu swej kultury politycznej. A nie zdoła nigdy, jeżeli mu się nie da swobodnego oddechu. Parlamentaryzm polski może się uzdrowić tylko przez... parlamentaryzm, oparty na zdrowych i celowych zasadach ustrojowych.

— Ładne nieporozumienie! W Warszawie jest w spisach „działaczy komunistycznych. „Partja" wypłaca stale pensję jego matce.

W dowództwie pułku, „morusa" jakich mało, wzięto na spytki.

— Należałeś do komuny?

— Tak jest!

— Brałeś pieniądze?

— Tak jest! I teraz — jeszcze biorę!

Pułkownik o mało się nie rozpłakał — ze złości.

— Tyś się wściekł, łobuzie? Przecież z ciebie najlepszy żołnierz w kompanji, ba... może najlepszy w całym pułku i —? Dlaczego brałeś te „judaszowe srebrniki"?

— Bo nie chciałem, żeby moja stara matka z głodu zdechła!

„Dowództwo" spojrzało na niego uważnie. Pułkownik podrapał się w głowę i zaczął coś „kombinować".

— Słuchajcie szeregowiec Olewiński, czy nie rozumiecie, co znaczy brać pieniądze od wroga waszej ojczyzny?

Olewiński wyłupił zdziwione oczy:

— Cóż to za grzech? U nas nad Wisłą powiadają: „kiedy dają to brać!" Jensza jest rzecz wziąść, a jensza coś za to zrobić! Miał wziąść jakiś prawdziwy łobuz i naprawdę szkodzić naszej Polsce, to już wolałem ja... Brałem, kiedy głupie dawały!

Pułkownik przejrzał wreszcie. Zagarnął Olewińskiego do swego pokoju i coś tam długo gadali. W rezultacie, najlepszy żołnierz w pułku, wyszedł stamtąd spłakany jak bóbr i oświadczył, że wraca do kompanji. To „stanowisko" potwierdził pułkownik (także miał bestja, czerwone oczy!) i na dobitek mianował go z miejsca" kapralem. Kiedyś po kilku tygodniach, zagadnąłem nowego podoficera:

— Boleś, no jakże tam z „bolszewicką forsą"?

Szarpnął się do bagnetu, ale uspokoił się odrazu i jeno szepnął:

— Głupi byłem i... ciemny! „Naród ciężko pracujący" potrza oświecać, żeby nie robił głupstw"!

Trawestujmy ten fakcik.

W Polsce mamy „bolszewizm". Jest! Ale — on polega na „logice", którą wyznaje ciemna ulica:

— Źle jest, chłodno i głodno?

— Wal bracie do komunistów!

— Chcesz sobie „życie poprawić"?

— To bierz choćby od „komuny" kiedy ci „forsę darmo dają"!

W gruncie rzeczy? W Polsce mamy niejednego Olewińskiego, Dam głowę, że na 100 t. zw. komunistów, 95 to — Olewińscy! Te „niziny", te „męty" społeczne, mają często duszę czystą jak kryształ, ale przyciemnioną „dymem niewiedzy" i brakiem pojęcia, co to jest t. zw. „moralność". Budzi się ona dopiero pod wpływem „dźgnięcia" w proste, nieuczone serce:

— Ten „łobuz", to — „podły łobuz" — bo okradł pana „ofjicera", zamiast tego, żeby „obrać" paskarza!

Rozumiecie mnie?

Czy i ich — pojmujecie?!

JULJAN PODOSKI.

Na polu twórczości.

Uwagi.

I.

Społeczność ludzka w swojem życiu kulturalnem i społecznem ma okresy — świtu, rozkwitu i upadku; mają je również narody poszczególne. Towarzyszą im zdarzenia rozmaite, niekiedy je poprzedzają, niekiedy nawet wywołują; niezawsze jednak rozkwit polityczny n. p. idzie w parze, czy wywołuje rozkwit kultury i nie zawsze najwyższe natężenie w dziedzine twórczości pięknej przypada na czasy odrodzenia politycznego.

U starożytnych Rzymian okres upadku republiki i swobód obywatelskich za czasów Juljusza Cezara i — szczególnie — Cajusa Oktaviusa sprowadza najbujniejszy rozkwit budownictwa, nauki literatuty i sztuki. U nas czasy stanisławowskie, okres bolesnego upokorzenia i upadku, był zarazem okresem odrodzenia życia kulturalnego we wszystkich prawie jego dziedzinach; na lata 1830 — 50 t. j. czas przed i po-powstaniowy przypada najbujniejszy rozkwit poezji romantycznej. Mogę nawet rzec, że nieszczęścia i zawody narodu w tej dobie pobudziły i natchnęły naszych wieszczów: opiewając upadek do granic się wznieśli genjalności, na niebosiężne szczyty sławy i chwały, gdzie króluje nieśmiertelność.

Bywa też inaczej.

Zwycięstwo nauki Judejczyka spowodowało upadek kultury heleńskiej w świecie starożytnem, godząc również skutecznie w niewzruszone dotąd fundamenty państwa boskich Augustów. W destrukcyjny sposób odbiła się wielka wojna i spowodowane nią zmiany systemów i ustroi społecznych — mimo, że te zmiany polegały na odrodzeniu politycznem poszczególnych narodów — na twórczości i etyce narodów europejskich. Nie powiem że sama wojna światowa te przemiany spowodowała: wojna była wynikiem toczącego się w psychice społeczności ludzkiej długiego procesu, przygotowującego myśl i życie do zmian, które aby mogły być przeprowadzone, potrzebna była wszechświatowa katastrofa. I Chrystus był prorokiem na czasie: szamocząca się w poniżeniu olbrzymia większość ówczesnego społeczeństwa, przygotowała w umysłach swoich miejsce dla nauki o miłości i braterstwie, która, gdy Chrystus przyszedł i posiał, przyjęła z entuzjazmem i zapłodniła swoje dusze.

Jak wówczas tak i spółcześnie nakreślone przez prawo i obyczaje granice stały się ciasne i niedogodne; wytknięte przez proroków i teorje drogi nie doprowadziły do celu; systemy genjalnych pyszałków przy pomocy dociekań filozoficznych i łamigłówki językowe zagadkę bytu pragnących odgadnąć, zbankrutowały jedne po drugich.

Więc przestano szanować prawo i prawodawców, drwiono z proroków, filozofom, tworzącym naukę o znikomości życia doczesnego a po zwierzęcemu nieraz kochającym te życie, lub nawołujących, po życiu spędzonym w rozpuście i rozkoszach światowych, do życia klasztornego—śmiano się w oczy. Zaś kierowników wielkiego autoramentu, nie stać było na giest: nie mieli odwagi przyznać się do winy, inni do ostatniej chwili, ba, dzisiaj jeszcze — po katastrofie — głosu czasu nie mogą zrozumieć. Zapomnieli, że kto się powolnym przemianom sprzeciwia i na przekształcenie w dziedzinach życia duchowego i społecznego w drodze ewolucji się nie zgadza, ten sieje burze i plony odpowiednie będzie zbierać.

Musiała więc przyjść wojna, wielka i krwawa, i znieść z powierzchni życia wszystko przestarzałe i niepotrzebne, wszystko co w procesie rozwoju hamowało rozmach a nowe wartości i ideje w stare chciało wtłoczyć ramy. Zburzono jednak więcej, niż na to stać było społeczeństwa, wzamian nic nie dając, albo bardzo mało — co w umysły ludzkie wtłoczyło przeświadczenie, że nic nie pasiadając można żyć. Lecz nie wszyscy chcieli, niektórzy niemogli, z takim się pogodzić stanem. Nastąpił tedy podział, rzec można, przegrupowanie społeczeństwa.

Jedna grupa, lwia część społeczeństwa, żyje bez wzniosłych celów, bez zasad i ideałów; inna, mniejsza, trzyma się kurczowo tych resztek jakie się po burzy zostały na rozpoczęcie nowego życia i tworzenie nowych wartości nie mając sił; trzecia grupa, ilościowo najsłabsza, garstka zaledwie, zdobyła się na wysiłek i chwiejnym krokiem podąża przed się.

Pomijając kategorję pierwszą, zauważyć trzeba, że dwie następne stosują w życiu tę samą taktykę, tylko w stosunku odwrotnym: stary kierunek nie licząc się ze zaszłemi już zmianami, chciałby żyć według systemu dawnego, bez myśli o kompromisie z nowatorami — nowatorzy, wystawiwszy sobie kapliczkę i ubarwiwszy ją jaskrawo, swego w niej ustawili boga i raźno tworzyć zaczęli nową... religję, w której jednak ewangelja św. Mateusza rozpoczynaiaca się od słów: Abraham **zrodził** Izaaka, a Izaak **zrodził** Jakuba, a Jakub **zrodził** Judę i braci jego — za fundamentalny dogmat uznaną nie została.

CAVIS.

MOŻE TAK — MOŻE NIE.

ZMIANA W BANKU POLSKIM.

15 b. m. ustąpił ze swego stanowiska pierwszy prezes Banku Polskiego p. Stanisław Karpiński. Ustąpił w okolicznościach mimo wszystko charakterystycznych. Nikt mu — jak pisze p. B. K. w „Kurjerze Warszawskim" — nie wypowiadał „umowy", nikt go nie uprzedził, że nominacja na nowe pięciolecie nie będzie odnowiona.

Dotąd nie został wyznaczony jego następca. Doniesienia niektórych pism że ma nim zostać ktoś z dotychczasowych kierowników tej instytucji nie są ścisłe. Ciąży na nich grzech... fachowości, a to w erze „radosnej twórczości" nie popłaca.

Jedno tylko zdaje się być pewnem, że nie grozi kandydatura żadnego pułkownika, chociażby z intendentury lub korpusu kontrolerów. Sfery miarodajne uznały bowiem, że skoro już w gmachu przy ul. Rymarskiej gospodarzy pułkownik i dyplomata w jednej osobie, który sam skromnie przyznał, że z pracą powierzonego resortu stykał się „sporadycznie tylko i zdaleka" — to nie sposób na decydującym dla waluty polskiej posterunku stawiać kogoś równie obcego tym zagadnieniom.

Wybór tedy padnie na kogoś „bliżej" się stykającego z walutą i finansami. Nie-

Może tak, może nie (c. d.)

małą dywersję urządził p. Bartel, który odrzucił tę „lukratywną posadę potentata bankowego" — jak się kwieciście w liście swym wyraził marszałek Daszyński — oświadczając, że sama myśl o tego rodzaju „wynagrodzeniu" jest dlań obrażająca.

Wobec tego poszukiwanie odpowiedniego kandydata trwa. A że nowy kierownik ministerstwa p. Matuszewski jest — jak słychać — człowiekiem energicznym, należy przewidywać, że wybór padnie niedługo.

Zatem czekajmy.

CZY „WŁAŚCIWY CZŁOWIEK NA WŁAŚCIWEM MIEJSCU?"

Wśród licznej rzeszy kandydatów na stanowisko prezesa Banku Polskiego, najbardziej podobno w tej chwili możliwą do uzyskania zatwierdzenia przez sfery decydujące jest kandydatura dr. Władysława Wróblewskiego b. posła Rzeczypospolitej w Londynie i Waszyngtonie...

W kołach poinformowanych zapewniają, że dzieje się nie tyle dzięki dyplomatycznym kwalifikacjom kandydata, aczkolwiek dyplomaci u nas teraz wchodzą w kurs, ale wskutek innych, bardziej wszechstronnych zalet p. Wróblewskiego.

Istotnie, dotychczasowa jego „karjera" jest zapisana tak różnorodnemi uzdolnieniami, że koroną jej śmiało być może kierownictwo banku emisyjnego.

Pierwsze „inklinacje" p. Wróblewskiego szły coprawda w kierunku t. zw. po „galicyjsku" — służby prezydjalnej. Był najpierw sekretarzem namiestnika hr. Pinińskiego, poczem nie mając jakoś pociągu do karjery naukowej na uniwersytecie (czem go zresztą chlubnie zdystansował rodzony brat obecnie prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa) — przeniósł się na teren gospodarczy i został dyrektorem krakowskiego syndykatu rolniczego. Ale pierwszy pociąg przeważył i po utworzeniu Rady Regencyjnej widzimy go już przy jej boku w Warszawie z opinją świetnego „prezydjalisty" wystawioną przez krakowski aeropag stańczykowski. Po tej drodze idzie dalej aż do stanowiska podsekretarza stanu w Prezydjum Rady Ministrów, a za Witosa przechodzi do dyplomacji. Odwołany z Waszyngtonu przez min. Skrzyńskiego czas jakiś jest „bez przydziału", krótko redaguje półurzędową „Gazetę Poznańską i Pomorską", poczem znowu... bez przydziału.

Wogóle więc kandydat do wzięcia. A jakże. I nie należy myśleć, że znowu całkiem taki obcy zagadnieniom finansowo-walutowym. Owszem, cokolwiek w tym względzie już praktykował. Nie jego wina, że nie najfortunniej...

Wspomina o tem coś niecoś w swej książce b. premjer i minister skarbu Wł. Grabski, opisując, jak to p. Wróblewski jako poseł w Waszyngtonie, upoważniony przez rząd do zaciągnięcia pierwszej pożyczki polskiej w Ameryce (w 1924 r. — pożyczka t. zw. Dillonowska) zgoła niepotrzebnie dał jako zastaw dochody z kolei...

Ale pożyczkę dostał. A że obecnie też jakaś by się przydała, a na Wallstreet pewno go pamiętają, że taki łatwy w interesach, więc kto wie, może i prezesem Banku Polskiego zostanie, o ile p. Matuszewski coś, względnie kogoś dowcipniejszego nie wynajdzie.

„UMIEJĘTNOŚĆ RZĄDZENIA"

Na pożegnalnej herbatce, urządzonej w Belwederze dla pożegnania p. Bartla, marsz. Piłsudski podnosząc zasługi ustępującego premjera zaznaczył, że dzięki jego pracy „Polska nieraz jest obecnie podziwianą pod względem umiejętności rządzenia".

W charakterystycznym tym zwrocie, podyktowanym niewątpliwie okolicznościami chwili — jest jednak pewna przesada obok zasadniczej prawdy. Niewątpliwą jest bowiem prawdą, że „Polska nieraz jest obecnie podziwiana pod względem umiejętności rządzenia", zwłaszcza zagranicą. Nie sądzimy jednak, aby to było zasługą ustępującego premjera. Wszak był on tylko wiernym pomocnikiem i wykonawcą.

Gorzej, że o dowodach tego „podziwu" dla „umiejętności rządzenia" Polską nie można swobodnie pisać...

Niewątpliwie, że i to jest nie byle jaką... umiejętnością.

RUGI I GALIMATJAS.

W szeregu urzędów pośpieszono zwolnić na emeryturę zastęp urzędników, datując dekrety zwalniające jeszcze datami marcowemi. Większość świeżych emerytów dostała dekrety już w kwietniu, gdy art. 116, na który dekrety się powołują, już przestał obowiązywać.

Powstał więc chaos: wielu z urzędników nie wie, czy są już emerytami, czy też nie, zwłaszcza, iż pensję na kwiecień otrzymali, — czy mają uważać zwolnienie swe za legalne, czy też za niebyłe; wielu z nich urzęduje w dalszym ciągu.

Największy chaos zapanował w urzędach akcyzy, gdzie na miejsce zwolnionych daje się odczuć brak nowych urzędników - fachowców i zwolnieni nie mają komu przekazać swych czynności. Stroskani emeryci (bez wyznaczonych emerytur) zjeżdżają się do Warszawy, gdzie przerażeni dygnitarze ministerjalni poprostu... nie przyjmują nikogo w sprawach emerytalnych.

A JEDNAK P. PASCHALSKI

Prasa codzienna doniosła, że wbrew pierwotnym wątpliwościom b. minister Czechowicz powierzył obronę swą przed Trybunałem Stanu głośnemu adwokatowi warszawskiemu mec. Fr. Paschalskiemu, znanemu z obron w wielu procesach karnych i politycznych, jak np. osławionego szpiega sowieckiego Illinicza, skazanego na 6 lat więzienia, a następnie w drodze wymiany oddanego Rosji.

W kołach politycznych nie chciano temu wierzyć. Szukano zaprzeczenia w prasie sanacyjnej. Aż wreszcie niektórzy niepoprawni doktrynerzy zaczęli wyczekiwać, kiedy to w „Głosie Prawdy" padną wyrazy najwyższego oburzenia, że polskiego ministra broni obrońca szpiega...

Spodziewano się tego po znanym Katonie sanacyjnym pośle pułk. Kocu, obecnie naczelnym redaktorze „Głosu Prawdy", mając w żywej pamięci ową scenę, kiedy to tenże p. Koc na posiedzeniu Sejmu w dn. 20 marca pełnym patosu głosem odczytywał z kartki atak na jednego z sejmowych oskarżycieli min. Czechowicza posła adw. Pierackiego, iż wszystko się wzdryga z oburzenia, że oskarżycielem polskiego ministra ma być b. obrońca Habsburga...

Tymczasem p. Koc milczy. I nietylko on jeden. Coraz częściej czynią to obecnie różni dziennikarze i działacze sanacyjni.

TAKŻE EMERYTURA.

Nie można powiedzieć, żeby sanacja zapominała o tych, którzy jej bodaj przelotne oddali usługi nawet gdy ich służba skończyła dość niefortunnie.

Ot b. poseł endecki, niechlubnie ostatnio zapisany „wskrzesiciel" Gazety Porannej 2 Grosze — p. Sadzewicz doświadczył ostatnio również hojnej pamięci do brodziejki — sanacji, mimo, że impreza z „Gazetą" skończyła się fiaskiem.

Z redaktorstwa sanacyjnego organu przeniósł się p. Sadzewicz do... loterji: Tam grał na loterji sam, tu będzie namawiał innych do gry, z której szanse mimo wszystko są większe.

Przy repartycji losów kolekturze p. Sadzewicza przydzielono tylko 2.000 sztuk co daje niezły zarobek, a wymaga złożenia niemałej kaucji.

Życzyć tylko wypada nabywcom losów w kolekturze p. Sadzewicza, by im samym szczęście bardziej dopisało niż niefortunnemu „redaktorowi".

Mówi się tu i ówdzie...

...że mianowany tylko kierownikiem ministerstwa skarbu p. Matuszewski — nie będzie długo popasał przy ul. Rymarskiej.

Ogłoszono już zresztą, że zatrzymuje nadal swój posterunek dyplomatyczny w Budapeszcie. Potwierdził to nadto sam p. Matuszewski w mowie swej przy obejmowaniu urzędowania, zaznaczając, że jest on powołany „do spełnienia określonych zadań i w określonym terminie".

Głowią się tedy ludziska, co to są te „określone zadania" i jak długi będzie ten „określony termin" tembardziej, że skarbiec jest jak wogóle za „ery majowej" zasobny, budżet zrównoważony i uchwalony, waluta ustabilizowana... Zapomniano jednak o jednem, że b. minister skarbu stanie niedługo przed Trybunałem Stanu. Otóż niewątpliwie zadaniem p. Matuszewskiego będzie zorganizować w należyty sposób dostarczenie wszelkich potrzebnych w tej sprawie Trybunałowi materjałów.

A że nowy kierownik znany jest ze swej energji i zręczności, spodziewać się należy, iż wszystko pójdzie jak najlepiej i Trybunał Stanu nie napotka żadnych trudności w swej pracy.

* * *

...że zatrzymanie teki ministra przemysłu i handlu przez p. Kwiatkowskiego w gabinecie p. Switalskiego nie jest jakiemś odstępstwem czy ustępstwem od początkowo ustalonej koncepcji, ale wybitnym dowodem, jak dalece gabinet obecny liczy się z zasadami oszczędności w gospodarce budżetowej.

Owszem, pierwotnie myślano o zastąpieniu p. Kwiatkowskiego kimś innym. Ale wówczas trzebaby było stworzyć nowy urząd coś w rodzaju generalnego inspektora dla rozbudowy Gdyni, Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, zakładów w Chorzowie i nowo budującej się fabryki w Tarnowie, że ostatecznie uznano, iż lepiej narazie zostawić rzeczy po staremu.

A tymczasem złośliwi mówią, że rząd nie liczy się z zasadami oszczędności...

* * *

...że sposób w jaki ustępujący premjer p. Bartel złożył wizyty marszałkom naszych izb ustawodawczych świadczy dobitnie o dokonywującej się w kołach miarodajnych zmianie poglądów na system dwuizbowości w naszym ustroju parlamentarnym.

Konstytucja marcowa uczyniła z Senatu... kopciuszka. Gdy prezes Senatu francuskiego przewodniczy Zgromadzeniu Narodowemu, marszałek naszego jest zaledwie zastępcą. Wszędzie zajmuje drugie miejsce po marszałku Sejmu.

Otóż będzie i u nas kiedyś inaczej. Narazie zmiana zaczyna się niejako od strony ceremonjału urzędowego. To też p. Bartel złożył pożegnalną wizytę najpierw marszałkowi Senatu, a dopiero nazajutrz marszałkowi Sejmu... Cieszcie się tedy „dwuizbowcy".

* * *

...że major Świtalski, nim nazwisko to stało się rzeczywistością polityczną — to był jeden z pseudonimów konspiracyjnych marsz. Piłsudskiego. Dziś wiemy, że tak nie jest. Boć nie ubliża przecież osobie obecnego premjera, że jest prawą ręką Marszałka.

* * *

...że pamiętniki, których wydanie zapowiada b. premjer Bartel — nie będą jedynym przyczynkiem do historji ewolucji politycznej Polski współczesnej, jaki wyjdzie z rządzących kół sanacyjnych.

Podobno i obecny minister poczt inż. Boerner przygotowuje do druku bardzo ciekawe studjum p. t. „Od Republiki Ostrowieckiej — przez Rząd ludowy — do Cezaryzmu".

Tytuł dzieła staje się jasnym, gdy się przypomni, że p. min. Boerner był w swoim czasie (1906 r.) „prezydentem" rewolucyjnej „republiki" w Ostrowcu, a w „Rządzie Ludowym" był komendantem i organizatorem t. zw. Milicji Ludowej.

* * *

...że obecny gabinet jest w pewnym stopniu emanacją II Oddziału czyli t. zw. popularnie defenzywy. Nie odpowiada to jednak wcale jego bojowemu charakterowi. Ma przecież być „ostry kurs"...

Chyba że, ustali się nowe określenie: defenzywa w ofenzywie. To co innego. Od czegóż bowiem tylu w nim zasiada wojskowych!

Czy prenumerata opłacona?

Humor polityczny.

SILNY RZĄD.

Nowy skład gabinetu wszyscy zrozumieli jako zrealizowanie zapowiedzi silnego rządu.

Ba — mówi pewien sceptyk — silny to on tam może i chce być, tylko, że jego matka — sanacja jest chora...

CZY BĘDZIE MAMA?

Przez dłuższy okres czasu krążyły wieści o tem, że ministrem pracy zostanie pułk. Prystor, wiceministrem zaś p. Praussowa. Gdy więc ogłoszono skład gabinetu, jeden z urzędników wchodzi do biura ze słowami:

— Habemus papam...

Na to odzywa się głos:

— A kiedy habebimus mamam?

W KRAJU POKRZYWDZONEJ MNIEJSZOŚCI.

Politycy kawiarniani twierdzą, że skład urzędników ministerstwa pracy, dzięki wpływom Sokala i jego zwolenników, w ostatnich latach jakoby bardzo... zsemiciał. Podobno w departamencie ubezpieczeń społecznych został już tylko jeden goj, p. W. (Wysłouch), ale i to tylko dzięki temu, że ma na imię... Izydor.

NIC SIĘ NIE ZMIENIŁO.

Gdy zaznajomił się z listą członków nowego gabinetu pewien „polityk" zadecydował, że nic się nie zmieniło: Był Car został Car, mamy tylko nowego Prystora...

Przyjaciel jego mniej polityki świadom, a z nałogu operujący jeszcze przedwojennymi kategorjami — zapominając całkowicie że to o naszym ministrze sprawiedliwości mowa — powiada:

Zapominasz kochasiu, że za cara był.. prystaw.

NIESPRAWDZONE OBAWY

Na pierwszą wieść o kandydaturze pułk. Matuszewskiego na ministra Skarbu w kołach gospodarczych zawrzało

Ktoś, kto zapomniał, że żyjemy już w okresie stabilizowanej waluty — dowiedziawszy się, że nowy minister jest mężem znanej laureatki olimpijskiej p. Konopackiej, głośno wyraził swe obawy:

To źle, bo teraz dolar gotów wykonać skok na tyczce...

Cena prenumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł. 1.20
Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.